



**MATKA
MATYLDA GETTER**

Anna Zechenter



MATKA MATYLDA GETTER

(1870–1968)

Anna Zechenter

Matka Matyllda Getter i zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi ryzykowały życie, biorąc pod swój dach żydowskie dzieci z gett i te błakające się bez dachu nad głową, głodne, przerażone – narażone w każdej chwili na śmierć z rąk niemieckich oprawców. Ocaliły ponad 500 dzieci oraz około 250 dorosłych.

Bliźnich, których matka Matyllda przez całe swoje prawie stuletnie życie wspierała w nieszczęściu, których wychowywała do chrześcijańskiej odpowiedzialności, których ocaliła od śmierci, można wyliczać długo: niezamożne dziewczęta z polskiej diaspory w Petersburgu końca XIX w., później warszawskie sieroty i dzieci ulicy oraz uboga młodzież z prowincji imperium carów, żołnierze I wojny światowej, biedota miejska oraz chorzy. I wreszcie, po 1 września 1939 r. – każdy, kto zapukał do klasztornej furty lub trafił pod drzwi jednego z licznych domów pod niemiecką okupacją.

Idź pracować dla kraju

O jej dzieciństwie wiemy niewiele. Może tę niezwykłą odpowiedzialność za innych, wyrażającą się czynami, wyniosła z domu, gdzie była jednym z dziesięciorga dzieci Karola i Matylldy Getterów. Urodzona w Warszawie w 1870 r., uczyła się w pałacu Bogusławskiego przy ul. Żelaznej, na pensji Sióstr Rodziny Maryi – instytutu powołanego w 1857 r. przez św. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego. Budynek szkoły był wcześniej własnością brata abp. Zygmunta, ks. Juliana Felińskiego, po czym został przekazany siostronom.

Wychowanie tam odebrane nie mogło pozostać bez wpływu na jej formację duchową, choć zakonnice nie przywdziewały habitów i posługę pełniły w ukryciu. Represje wobec Kościoła katolickiego, jedyne go wówczas reprezentanta polskości, wzmogły się po upadku powstania styczniowego – rząd carski mścił się za udział w nim setek księży. Z krajobrazu Warszawy znikwały kościoły przebudowywane na cerkwie, trwała akcja kasaty zakonów, duchowych gnano do więzień i na zesłanie. W tej sytuacji pracę trzeba było prowadzić pod szyldem zakładów opiekuńczych.

Chociaż w 1884 r., gdy Matylda miała czternaście lat, władze zamknęły pensję, to jednak powołanie zawiodło ją z powrotem w mury przy Żelaznej. Chciała zostać karmelitanką, ale o jej przyszłym losie rozstrzygnęły słowa spowiednika: „Pójdiesz do Rodziny Maryi, bo trzeba teraz ratować biedne dzieci i pracować dla kraju”. A przecież nie wspomniała mu ani słowem o swoich latach szkolnych... Uznawszy tę wskazówkę za opatrnościową, jako siedemnastolatka zgłosiła się do zgromadzenia.

Dobra, elegancka i wdzięczna

Śluby wieczyste złożyła w odeskim domu w 1895 r. – i tam została mistrzynią nowicjatu, odpowiedzialną za formację młodych adeptek. Miała wówczas niewiele ponad 25 lat i mnóstwo obowiązków. Jako pedagog ze znajomością języka francuskiego uczyła także w szkole, prowadząc równocześnie ochronkę dla ubogich dzieci.

Po ośmiu latach siostra Matylda wyjechała do zakładu dla dziewcząt przy generalnym domu Rodziny Maryi na jednej z kilkudziesięciu malowniczych wysp petersburskich.

„Najsilniejszy, radykalny wpływ na młodzież wywierała Mistrzynie, dobra, młoda matka, Matylda Getter, której takt, równowaga połączona z wielką dobrocią, wykwinna elegancja, czarujący wdzięk, łączyły się z oryginalnością sposobu obcowania z młodzieżą i oddziaływania na jej psychikę” – to wspomnienie Marii Siemaszko, wychowanki z Petersburga, przytacza siostra dr Teresa Antonietta Frącek, historyk i archiwistka wspólnoty.

Szkoła nie tylko przekazywała określone kompendium wiedzy, ale i przygotowywała do życia, wpajając zasady moralne, wyrabiając hart ducha, kształtując charaktery. Absolwentki uzyskiwały patenty nauczycielskie lub zdobywały inny zawód: gospodyni, krawcowej, hafciarki. Panowała atmosfera serdeczna i ciepła, zwłaszcza w dacy pod miastem. „Uroczą Mikołajówką – by zacytować za siostrą T.A. Frącek słowa innej wychowanki – była ośrodkiem zdrowia, wypoczynku, przyjemnych rozry-

wek, cudnych wycieczek, w których niejednokrotnie brał udział [...] ks. Jan Cieplak, późniejszy arcybiskup męczennik – Polak z krwi i kości, wszczepiający tę polskość w duszę dzieci i młodzieży”. Po bolszewickim przewrocie bp Cieplak został skazany jako najwyższy hierarcha katolicki w Sowietach na śmierć w moskiewskim procesie pokazowym piętnastu duchownych. Ocaliły go interwencje Watykanu i Rzeczypospolitej – władze ZSRS wydalły go w 1924 r.

Wyjść z ukrycia

Rodzina Maryi była instytucją formalnie świecką – choć dla carskiej ochrony było jasne, że takim nie jest. Kolejne przełożone starały się więc o połączenie z francuskim Zgromadzeniem Franciszkanek Misjonarek Maryi, by uzyskać status regularnego zakonu, zatwierdzonego przez Stolicę Apostolską.

Zjednoczenie, a w zasadzie wchłonięcie Rodziny Maryi przez franciszkanki misjonarki Maryi, przeprowadzone zgodnie z prawem kanonicznym, okazało się błędem – szybko ujawniły się znaczne różnice między oboma środowiskami: proste życie, oparte na zasadzie jedności i wspólnoty, do którego były formowane siostry Rodziny Maryi, nijak nie przystawało do silnie akcentowanej misjonarskiej hierarchiczności i podziału zakonnice na chóry. Dla ratowania tożsamości i tradycji Rodziny Maryi matka Matylda Getter w 1914 r. dokonała na własną rękę secesji dawnej Rodziny Maryi ze wspólnego zgromadzenia. Tą odważną decyzją ocaliła dzieło abp. Felińskiego, choć tylko na ziemiach polskich pod zaborem rosyjskim. Poszły za nią trzy domy: dwa warszawskie – przy Hożej, gdzie znajduje się dziś warszawski Dom Prowincjalny, i przy Żelaznej, gdzie mieści się siedziba Domu Generalnego – a także dom w Kostowcu, w powiecie pruskowskim, ze szkołą dla dzieci chłopskich. Siostry z dalszych ośrodków na obszarze imperium, m.in. z Odessy i Petersburga, napotkały trudności i rozstały się na zawsze z rodzimym zakładem.

Niejasna sytuacja garstki zakonnice z Matusią – jak nazywano matkę Getter – na czele została uregulowana po odrodzeniu Rzeczypospolitej. Warszawskie zgromadzenie mogło wreszcie w 1919 r. połączyć się z bliźniaczym zgromadzeniem lwowskim z dawnej Galicji – za zgodą wizytatora apostolskiego w Warszawie, Achille Rattiego, późniejszego papieża Piusa XI. W niepodległą Polskę wkraczało 580 franciszkanek Rodziny Maryi.

Bez wytchnienia

Zanim jednak doszło do powstania jednego zakonu, przez ziemie polskie przetoczył się kataklizm I wojny światowej, niosąc zniszczenie, głód, epidemie. Matka Matylda, warszawska przełożona, urządziła w budynku przy Żelaznej szpital dla żołnierzy rosyjskich, zatrutych ciężko przez Niemców chlorem w walkach pod Bolimowem niedaleko Łowicza w lipcu 1915 r. Byli wśród nich także Polacy z poboru do carskiego wojska. Potem ulokowała tam świetlicę z posiłkami dla dzieci i młodzieży, a przy furcie klasztornej poleciła karmić codziennie prawie pół setki ubogich.

Gdy młode państwo polskie dźwigało się z wojennych zniszczeń, ruszyła do dzieła. O zawrót głowy przypawić może tempo jej pracy: w 1919 r. powstał dom dla sierot przy Zamoyskiego w Warszawie, prowadzony przez nią do 1936 r.; w 1920 otworzył podwoje czynny do dziś „Zosinek” w Międzyzlesiu – trafiały tam dzieci z dalekich Kresów i wojenne sieroty. Rok później były gotowe sierociniec, przedszkole i dom starców w Sejnach, a także ośrodek opiekuńczy „Loretto” na warszawskiej Pradze.

Ale potrzeby wciąż były wielkie, więc w 1923 r. rozpoczęły działalność placówki w Augustowie i Chotomowie, a w 1924 ochronka w Płudach, dokąd sprowadził siostry właściciel folwarku – znany filantrop Krzysztof Kiersnowski, przekazując im ziemię i środki na budowę. Równocześnie ruszyły – czynne do dzisiaj – dom dziecka oraz przedszkole w Białotęce. A potem rok po roku przybywało po kilka obiektów, m.in. sanatorium „Ulanówek” w Międzyzlesiu – obecnie Dom Opieki Społecznej dla Dzieci, sierociniec w Ostrowii Mazowieckiej, dom dla dzieci „Jurzenka” we wsi Pustelnik, włączonej później do miejscowości Marki w powiecie wołomińskim – wciąż znajdują tam schronienie sieroty, dzieci z rodzin rozbitych i upośledzone umysłowo.

Matka Matylda nie wiedziała, co to znaczy zmęczenie. Brwinów, Karolin, Struga, Anin, Wilno i Wilejka – tam i w innych miejscach wyrastały jak grzyby po deszczu nowe placówki.

Nie lubiła „sierocińców”

Niespożyta energia ponad sześćdziesięcioletniej zakonnicy znalazła ujście, gdy w 1936 r., po podziale zgromadzenia na trzy prowincje, została mianowana przełożoną prowincji warszawskiej. Do 1945 r. zarządzała z 404 towarzyszkami – jak podaje siostra T.A. Frącek – 44 domami na obszarze sześciu diecezji, w granicach

czterech województw. Swoją siedzibę przeniosiła z pałacu Bogusławskiego do drewnianego domu przy Hożej, skąd bliżej było na dworzec kolejowy. A ten wzgląd był dla Matusi decydujący – wszak pod swoją pieczę miała, by znów powołać się na siostrę T.A. Frącek, 21 sierocińców, osiem ochronek, siedem internatów dla uczennic szkół średnich oraz hotelik w Warszawie dla dziewcząt pracujących. Jej podwładne uczyły w dziesięciu szkołach powszechnych, w tym w pięciu własnych, pracowały w trzech szpitalach i trzech przychodniach dla chorych.

Nie lubiła słowa „sierociniec”. Stworzyła opuszczonym dzieciom prawdziwe domy. Wybierała miejsca malownicze, zatopione w zieleni, położone z dala od miejskich murów. W największej placówce w Płudach, gdzie mieszkało dwieście dziewcząt, dwudziestoosobowe grupy miały własne domki, ochrzczone nazwami brzmiącymi ciepło i swojsko: „Echo”, „Kruszyna”, „Rusałka”, „Zacisze”.

Lata poświęceń przyniosły matce Matyldzie Getter uznanie: w 1925 r. została odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a sześć lat później – Złotym Krzyżem Zasługi za osiągnięcia oświatowo-wychowawcze.

Ostatnie lata przed wojną przeżyła zgodnie ze słowami, które wygłosiła, przyjmując stanowisko przełożonej: „Dla Zgromadzenia naszego po Bogu – Ojczyzna jest największą wartością moralną. Ojczyźnie najmilszej służyć pragniemy przede wszystkim przez wychowanie i wykształcenie powierzonej naszej pieczy młodzieży na dobrych, świadomych swych obowiązków obywateli”.

Niebawem już wraz ze swoimi podwładnymi stanęła przed próbą najcięższą.

„Kto by przyjął jedno takie dziecko...”

Gdy na Polskę runęła niemiecka nawała, dom przy Hożej przyjął pół tysiąca uciekinierów – skonanych, spragnionych, głodnych. Zakonnice udzielały pomocy medycznej rannym, odwiedzały ich w szpitalach, ukrywały ludzi poszukiwanych. Siostry Rodziny Maryi, jedno z największych przed wojną zgromadzeń, miało ze swymi 160 domami i 1120 członkiniami wspólnoty duże zaplecze, a matka Matylda roztoczyła opiekę również nad obszarami prowincji poznańskiej i lwowskiej, przyłączonymi do Generalnego Gubernatorstwa.

Siedemdziesięcioletnia w 1940 r. przełożona utrzymała w samej prowincji warszawskiej 22 sierocińce i zorganizowała dziewięć nowych. Bo każdy dzień wojny niósł ze sobą rosnącą liczbę opuszczonych dzieci – ich rodziców zabijano, wywożono, aresztowano. Siostry musiały zmierzyć się z koszmarem codzienności i sprostać mu

zgodnie z regułą spisana przez założyciela, św. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego. „Syn Człowieczy nie przyszedł, aby Jemu służono, lecz żeby służyć” (Mk 10,45) – ten cytat z Ewangelii umieścił w regule. I jeszcze drugi: „Kto by przyjął jedno takie dziecko w imię moje, Mnie przyjmuje” (Mt 18,5).

Czymże innym, jak nie przyjmowaniem tych najmniejszych i najślabszych zajmowały się od prawie osiemdziesięciu lat? Pod niemiecką okupacją stanęły w obliczu niewyobrażalnego dramatu – wszyscy Żydzi na polskich ziemiach okupowanych zostali skazani na biologiczne wyniszczenie. Objęto ich specjalnym ustawodawstwem, a za ukrywanie, dostarczanie im żywności i inne formy pomocy przewidziano jedną karę: śmierć. W odróżnieniu od krajów zachodnich, okupowanych przez Niemcy, w Polsce za podanie Żydowi kromki chleba czy kubka wody przeprowadzano tzw. egzekucję na miejscu zdarzenia (*an Ort und Stelle*). Stosowano przy tym zasadę odpowiedzialności zbiorowej: razem z „winnymi” ginęły ich dzieci, rodzice, żony i mężowie. Ten, kto przyjmował pod swój dach Żydów, ryzykował życie nie tylko własne, lecz także całej rodziny, a nawet sąsiadów.

W imię Chrystusa

Rodzina Maryi ratująca Żydów w ramach akcji kierowanej przez Matusię z Warszawy oraz przełożoną generalną Ludwikę Lisównę ze Lwowa, narażały zarówno siebie, jak i wszystkich mieszkańców klasztorów i domów: wychowanków, a także ukrywających się dorosłych.

Zazwyczaj trafiały tam dzieci skierowane przez matkę Matyldę, Radę Główną Opiekuńczą, Radę Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu RP na Kraj pod kryptonimem „Żegota” lub Wydział Opieki Społecznej miasta stołecznego Warszawy, wspierający finansowo pomoc niesioną Żydom. Zamieszkanymi przez siostry pałac Bogusławskiego przy Żelaznej graniczył z murem getta, gdzie żyło ok. 380 tys. osób, czyli 30 proc. populacji Warszawy, na powierzchni stanowiącej około 2,5 proc. miasta. Dzieci trafiały stamtąd do zakonnicy w koszach z brudami, pojemnikach na śmieci, beczkach. „Matka była nieustraszona. Słuchy o tym dochodziły do getta – pisała we wspomnieniach *Byłam tylko lekarzem...* Zofia Rosenblum-Szymańska, lekarz pediatra, uwięziona w getcie do 1942 r. – Poprzez mur pracownicy Centosu [Centrali Związku Towarzystw Opieki nad Sierotami i Dziećmi Opuszczonymi] były w stałym kontakcie z matką Getter i często udawało im się ocalić kogoś od zagłady. [...] Matusia nigdy, w ciągu długich rozmów ze mną, nie podkreślała tego faktu, uważała to za zupełnie naturalne”.

Warszawska przełożona zobowiązała się przyjąć każde dziecko wyprowadzone z getta – i tego słowa dotrzymała, co podkreślała Irena Sendlerowa. „Ktokolwiek przychodzi na nasze podwórko i prosi o pomoc, w imię Chrystusa, nie wolno nam odmówić” – mówiła.

Starła się o metryki i inne papiery dla zagrożonych. „W starym, drewnianym domu przy Hożej działała komórka legalizacyjna, która wyrabiała nowe dokumenty dla osób ściganych, ukrywających się, a także Żydów” – pisze siostra T.A. Frącek. Tamtędy wiodła droga dzieci żydowskich do bezpiecznej kryjówki – tych z „lepszym wyglądem” w klasztornych sierocińcach, tych o rysach wybitnie semickich w zaufanych rodzinach. Część trafiała na stałe do domu prowincjalnego przy Hożej.

Z psiej budy, ziemnej nory, placu egzekucji

Wspólnota uratowała ponad pół tysiąca żydowskich dzieci. Siostróm rozwożącym podopiecznych do wskazanych przez nią domów przełożona powtarzała: „Może dzięki naszej ofercie Pan Bóg ochroni zakłady i dzieci polskie od gorszych niebezpieczeństw”. Telefonowała wcześniej do przełożonych i pytała umówionym szyfrem: „Czy przyjmie siostra błogosławieństwo Boże?”. Cóż można było odrzec?

Nie każdemu dziecku dane było spotkać ludzi działających w sposób zorganizowany, różne były zatem drogi wiodące do ocalenia. Na przykład przez ogrodzenie zakładu w Płudach, gdzie zdesperowana kobieta, prowadzona z innymi Żydami na egzekucję, przerzuciła swoje dziecko. Lub z nory wygrzebanej pod chodnikiem, skrywającej trzyletnią dziewczynkę z hebrajskim tatuażem na boku. Z psiej budy, gdzie schroniła się inna dziewczynka, błakająca się po polach w okolicach Łowicza. Nawet z placu egzekucji – wprost od piersi zamordowanej matki.

Dzieci podrzucano w koszach pod bramę – tak trafiło do sierocińca w Samborze (obecnie na Ukrainie) niemowlę, którego rodzice utrzymywali po wojnie kontakt z siostrami. Ocalona także w Samborze Anna Henrietta Kretz widziała egzekucję swoich rodziców. Ojciec zdążył krzyknąć: „Uciekaj!”, więc biegnąc przed siebie. Cudem uniknęła śmierci od niemieckich kul i dotarła wprost z miejsca kaźni do sierocińca. „Bądź moją matką, nie mam już rodziców” – prosiła przełożoną Celinę Kędzierską. Została w samborskim domu do 1945 r. i tam właśnie odnalazł ją jedyny ocalały z rodziny wuj, z którym wyjechała do Belgii. Nie znała nawet nazwy wspólnoty, która ją ukrywała. Słowa Anny, wypowiedziane w rozpaczy do siostry Celiny, przetrwały w pamięci zakonnicy. Zacytowane w opracowaniu siostry T.A. Frącek *Zgromadzenie*

Siostr Franciszkanek Rodziny Maryi w latach 1939–1945 z 1981 r. i powtórzone w 1992 r. przez historyk Ewę Kurek, Anna Kretz przeczytała w Belgii. Nawiązała kontakt z klasztorami w Warszawie i Rzymie.

Ufała Opatrzności i robiła swoje

Często matka Matylda Getter musiała w swoim sumieniu rozstrzygać dylematy moralne. W jednym z domów młoda Żydówka zdradziła swoje pochodzenie, a informacja o ukrywaniu przez siostry Żydów wydostała się na zewnątrz. Szantażowano nie tylko ją, ale i zakonnice, grożąc im denuncjacją. Matka Getter stanęła wówczas przed dramatycznym wyborem: usunąć Żydów, aby ratować innych oraz całe zgromadzenie, czy pozostawić sprawy swojemu biegowi. Modliła się długo. „Prosiłam, żeby Pan Jezus dał mi poznać, jaka jest Jego Wola w tej sprawie i zrozumiałam, że nie mam nikogo z tych Żydów usuwać, nawet tej, która nas wszystkich naraziła ze swej winy, tylko mam ich nadal chronić przed śmiercią [...], a bezpieczeństwo nasze zdać na Opatrzność Bożą. Teraz już wiem, jaki jest mój obowiązek i odzyskałam zupełny spokój” – powiedziała.

W tych mrocznych latach towarzyszyła siostronom szczególnie gorliwa modlitwa: adoracje Najświętszego Sakramentu, nieustanny różaniec, droga krzyżowa i prośby do Opatrzności Bożej. Za ukrywanie Żydów nie zamordowano żadnej zakonnicy ani dziecka – polskiego czy żydowskiego.

Róża Łubieńska, w międzywojniu organizatorka Towarzystwa Opieki nad Więznięciami, a pod okupacją współzałożycielka Rady Opiekuńczej Miejskiej w Krakowie, pisała: „Nie wiem, co bardziej ceniłam u Matusi. Czy męski rozum, czy delikatność kobiecą, czy szybkość decyzji, czy zmysł organizacji, czy zawsze trafne rozstrzygnięcia, czy niewyczerpaną cierpliwość w udzielaniu się wszystkim, czy gotowość wyrzeczenia się siebie o każdej chwili dnia i nocy”.

Na linii walk powstańczych

Kiedy do matki Getter dotarły wieści o zbliżającym się wybuchu powstania, wróciła do stolicy z Ulanówka, gdzie przechodziła rekonwalescencję po zawale. Dom przy Hożej od dawna służył za magazyn środków opatrunkowych i żywności, a podczas walk przyjął komendanta VII Obwodu AK „Obroża”, ppłk. Bronisława Krzyżaka „Kalwina”, organizującego zaplecze dla zgrupowania pod komendą rtm. Romualda

Radziwiłłowicza „Zaremby”. Utraciwszy rękę, rotmistrz w ostatnich dniach sierpnia przekazał dowództwo kpt. Franciszkowi Malikowi „Piorunowi”.

Linia walk przebiegała zaledwie sto metrów od domu przy Hożej. W części pomieszczeń siostry urządziły punkt sanitarny, same wyruszały po rannych, gotowały dla ponad tysiąca osób. W piwnicznej kaplicy odprawiano nabożeństwa, a kilkanaście par wzięło tam ślub. Obrączki dla pierwszej z nich wyciął kolega z łożyska karabinu maszynowego. Po sakramentach następowały krótkie weselne spotkania przygotowywane pod okiem matki Matyldy. Na stół wjeżdżały małe kanapki z nasturcją z klasztornej ogródka lub plasterkiem pomidora.

Były też i powstańcze pogrzeby na dziedzińcu przy figurze św. Józefa. Idący do niewoli po upadku powstania dostali paczki żywnościowe. Młody kleryk Edward Materski, późniejszy biskup, który spisywał dane poległych, zanotował: „W sierpniu 1944 r. [...] widziałem heroiczną postawę siostr. Tu poznałem matkę Matyldę Getter, Matusię, o przenikliwym spojrzeniu na wszystkie problemy życia i o otwartym dla wszystkich sercu”. Za bohaterstwo w walczącej i ginącej stolicy została 27 września 1944 r. odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami – bliższe okoliczności tego wydarzenia odeszły w zapomnienie.

Razem z całą ludnością zakonnice opuściły Warszawę, a matka Matylda dotarła do Brwinowa. Po powrocie w ruiny w 1945 r. zaczęła szukać podwładnych wywiezionych do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Do odnalezionych słała listy i paczki.

Po wojnie Matusia nie wracała nigdy do akcji ratowania Żydów, nie mówiła o niej ani nie pisała. Uznała swój obowiązek za spełniony, a sprawę za zamkniętą.

Kamień węgielny

W 1945 r. miała 75 lat. Jeszcze przez dziewięć lat pełniła obowiązki przełożonej domu. Wysyłała kartki do aresztowanego prymasa Stefana Wyszyńskiego, a ten odpisał jej, że najbliższym jego Krzyżem jest Rodzina Maryi. Zmarła w Płudach 8 sierpnia 1968 r.

W pięćdziesiątą rocznicę jej śmierci przy Hożej poświęcono kamień węgielny pod Muzeum Ratowania Dzieci Żydowskich im. matki Matyldy Getter – kamień przywieziony z ogrodu Instytutu Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Jad Waszem. Dlaczego stamtąd? Bo 33 lata wcześniej, w 1985 r. matka Matylda otrzymała pośmiertnie medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Później w ten sam sposób wyróżniono jeszcze sześć siostr z Rodziny Maryi.

W 1982 r. bp Władysław Miziołek, świadek wojennej działalności Rodziny Maryi w Międzyzlesiu, gdzie był kapłanem, a także w Aninie, Płudach, Pustelniku oraz Warszawie, powiedział: „Gdyby posadziło się drzewa ku pamięci wszystkich Żydów, uratowanych przez siostry, powstałby wielki las”.



Dyplom i medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” przyznany m. Matyldzie Getter.

Nie zapomnę do końca życia tego momentu, Matka Getter była w tym małym ogródku, na Hożej, zbliżyłam się do niej, powiedziałam, że nie mam gdzie się podziać, że jestem Żydówką, a więc wyjętą spod prawa. Na co matka Getter mi odpowiedziała i tu przytaczam jej słowa: „Dziecko moje, ktokolwiek przychodzi na nasze podwórko i prosi o pomoc, w imię Chrystusa, nie wolno nam odmówić”. Z całego okresu wojny, z wszystkich moich strasznych przeżyć, to jest jedyny z nielicznych momentów, który pozostał mi w pamięci, tak świeży, jakby stał się dopiero w tej chwili.

Lila Goldschmidt, ur. 1922 we Lwowie, Mediolan, 20 XII 1983 r.

„Co mi powiesz dziecko?” – zapytała mnie Matusia Getter. – Opowiedziałam jej, że policja jest na moich śladach, że nie mogę wrócić do swojego mieszkania, że jestem Żydówką i że nie wiem, gdzie się podziać z tym życiem, co się tak rozpaczliwie kołacze w moim sercu. Tego dnia już zostałam na ulicy Hożej. [...] Któregoś dnia Matusia Getter ofiarowała mi maleńki medalion, mówiąc: „Ja wiem, że ty w to nie wierzysz, to nic nie szkodzi, bo ja w to wierzę, trzymaj go przy sobie”. Mam go jeszcze do dzisiaj.

Mary Goldschmidt, ur. 1924 we Lwowie

Ku pamięci siostry przełożonej [Celiny Kędzierskiej z Sambora] i innych sióstr, które z narażeniem własnego życia i w strasznych warunkach chowały mnie i inne dzieci żydowskie i pomogły nam utrzymać wiarę w ludzi, którą mogliśmy na zawsze zatracić wraz z życiem. Oby pamięć o ich uczynku nigdy się nie zatarła, bo czynem wskazały, że miłość bliźniego może doprowadzić do najwyższej szlachetności i bohaterstwa. Nigdy tego nie zapomnę. Obym była tego warta.

Hanna Kretz z Belgii, Warszawa, 21 X 1993 r.

Wpis do książki pamiątkowej Domu Generalnego
Siostr Franciszkanek Rodziny Maryi

Strasznie się bałam, ponieważ miałam okropny wygląd, „złą twarz”. Przechodząc przez furtę [domu przy Hożej w Warszawie] miałam świadomość, że za nią rozstrzygnie się mój dramat: życie czy śmierć. Matka Przełożona Matylda Getter spozrzała na nas i powiedziała: „Tak, przyjmuję”. Wydawało mi się, że się niebiosa otworzyły przede mną.

Małgorzata Mirska-Acher, z listu do m. Matyldy Getter,
Nowy Jork, 4 IV 1960 r.

Z wielkim wzruszeniem i miłością wspominam postacie M. Matyldy Getter oraz Siostry Przełożonej Anieli Stawowiak, które mi uratowały życie, gdy mnie przyjęły do swego domu w Płudach w początkach września 1942 r., gdzie jako wystraszone, czarne żydowskie dziecko znalazłam ratunek i azyl.

Małgorzata Mirska-Acher, Warszawa, 20 IV 1983 r.

Wpis do książki pamiątkowej Domu Generalnego
Siostr Franciszkanek Rodziny Maryi

W klasztorze [w Brwinowie] byłam do 1945 r. Pamiętam, że byłam bardzo chora. [...] Było straszne bombardowanie. Siostra wzięła mnie na rękę i w nocy, przez pola, leciała ze mną do szpitala [...] Tam mnie zoperowali i wróciłam do klasztoru. W czasie wojny nie rozumiałam, dlaczego mnie chowają. Siostry [...] tłumaczyły tylko, że jest niebezpieczeństwo. [...] Nie rozumiem tylko, jak krótką mamy pamięć. My w Izraelu też. To samo powiedziałam w izraelskim radiu. [...] Tak, jak nie powinno się zapomnieć zła, tak samo i dobrego.

Alinka Herla, obecnie Lea Balint, relacja złożona w Brwinowie, 1984 r.

Moim największym pragnieniem wtedy w Warszawie było właśnie przyjęcie mnie do waszego grona. Było to konieczne, aby ocalić mi nie tylko życie, ale także umysł. [...] Poza tym, po wyjściu z piekła, gdzie straciłam wiarę w ludzi i istnienie jakiegokolwiek dobra na ziemi, weszłam w otoczenie, gdzie uczono mnie o istnieniu miłości i to miłości Boga do ludzi. Było to dla mnie absolutnym objawieniem. Uwierzyłam, bo bez tej wiary nie mogłabym była w ogóle przeżyć tych następnych lat. I mimo moich późniejszych wątpliwości i załamania, coś przecież zostało mi z tych lat wiary.

Janina Dawidowicz, z listu do s. Zofii Olszewskiej, Londyn, 11 I 1975 r.

(Relacje cytowane za opracowaniami i artykułami s. dr Teresy Antonietty Frącek).



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ